

Niedziela życia



**Raymond Queneau**

# Niedziela życia

Przełożyła Hanna Igalson-Tygielska

## PROZA 42

Raymond Queneau: *Niedziela życia*  
PRZEKŁAD • Hanna Igalson-Tygielska

PROJEKT OKŁADKI • Justyna Boguś / Mile Widziane  
REDAKCJA I KOREKTA • Anna Krzywania  
SKŁAD • Anna Krzywania  
OPRACOWANIE GRAFICZNE • Artur Burszta  
DRUK I OPRAWA • PASAŻ Kraków

Original title: *Le Dimanche de la vie*  
Copyright © by Editions Gallimard, Paris, 1951  
Copyright © by Hanna Igalson-Tygielska  
Copyright © by Biuro Literackie, 2016

BIURO LITERACKIE  
ul. Sokolnicza 5/37, 53-676 Wrocław  
tel. 71 346 01 42, poczta@biuroliterackie.pl  
www.biuroliterackie.pl

ISBN 978-83-65125-37-8

Motto pochodzi z III tomu *Wykładów o estetyce* Georga Wilhelma Friedricha Hegla (przeł. J. Grabowski i A. Landman, PWN, Warszawa 1967).

Cytat na s. 157 podany jest w przekładzie Władysława Noskowskiego.

CET OUVRAGE A BÉNÉFICIÉ DU SOUTIEN DES PROGRAMMES D'AIDE  
À LA PUBLICATION DE L'INSTITUT FRANÇAIS



Projekt współfinansowany  
w ramach programu Unii Europejskiej  
„Kreatywna Europa”

*...jest to niedziela ich życia, która wszystkich zrównuje i usuwa wszystko, co złe; ludzie, którzy mogą być tak z całego serca weseli, nie mogą być naprawdę na wskroś źli i niegodziwi.*

Hegel



*Postacie występujące w tej powieści są prawdziwe i wszelkie podobieństwo do osób nieistniejących jest przypadkowe.*





# I

**N**ie miał pojęcia, że za każdym razem, kiedy przechodził przed jej sklepem, patrzyła na niego, właścicielka sklepu na szeregowego Brû. Szedł swobodnym krokiem wesołym odzieniu khaki, spod kepi próbowały wystawać krótko ostrzyżone włosy, i prawie lśniły, szedł z rękami wzdłuż kantów spodni, a jedna z nich, prawa, unosiła się w nierównych odstępach czasu, żeby uszanować wyższą szarżę lub odpowiedzieć na pozdrowienie jakiegoś zdemilitaryzowanego osobnika. Nie podejrzewając, że pełen podziwu wzrok przyspila go codziennie do trasy wiodącej z koszar do kancelarii, szeregowy Brû, który na ogół wcale nie myślał, a jak już to o bitwie pod Jeną, szeregowy Brû przemieszczał się z lekkością istoty niczego nieświadomej. Oczywiście miał nieświadomie szarobłękitne, owijacze nieświadomie, lecz elegancko zrolowane, naiwnie obnosił ze sobą wszystko, co trzeba, żeby się podobać pannie niezupełnie młodej i niezupełnie pannie. Nie wiedział.

Julia uszczypnęła swoją siostrę, Chantal, w ramię i powiedziała:  
– To on.

Przycupnięte za stosem szpulek i guzików patrzyły w milczeniu, jak przechodzi. Ich milczenie było spowodowane intensywnością obserwacji. Nawet gdyby rozmawiały i tak by ich nie usłyszał.

Szeregowy Brû, jak to ma w zwyczaju, skręca na rogu ulicy Jules Ferry i na jakiś czas znika. Aż do pory kolacji.

– No i co? – pyta Julia.

– No i co? – odpowiada Chantal.

Siada przy kasie.

– On?

– Takich jak on są tysiące – mówi Chantal.

- A takich jak twój też są tysiące, nie?
- To żaden argument.
- W takim razie sama widzisz.

Julia nie odrywała rozmarzonego spojrzenia od rogu ulicy Jules Ferry.

- Cóż ja widzę? – zapytała Chantal.

Julia zwróciła się ku siostrze:

- Tylko on, żaden inny.
- Rób, jak chcesz.
- Nie masz mi nic innego do powiedzenia?

Jeśli wyjdzie za mąż, państwo Bolucra będą się mogli pożegnać z jej spadkiem, nie chodzi o nich, tylko o ich córkę Marinette, która mogłaby ot tak sobie przejąć interes, gdyby ciocia ot tak sobie zaczęła słabować. Znajdzie się co innego dla Marinette. Państwo Bulocra nie potrzebowali żadnego straganu po ciotuni. Nie polowali na żadne spadki. Niech się Julia hajtnie.

- Nie sądzisz, że trochę dla ciebie za młody?
- A ile mu dajesz?
- Dwadzieścia dwa, trzy lata.
- Robisz z niego chłopaczka w krótkich spodenkach.
- Najwyżej dwadzieścia pięć.

Nie mówiła tego, żeby ją zniechęcić. Ale wydawał jej się zbyt zielony, ten żołnierzyk, dla jej siostry, która za bardzo zielona nie była.

– Jest przystojnym mężczyzną – mówi Julia. – Nie żadnym chłoptysiem.

– Zmyłka, moja droga. Jest to młodziak i żółtodziób, ten twój wojak. Ma jeszcze śmietankę pod nosem, mówię śmietankę, bo rzeczywiście jest śliczny.

Julia wybuchnęła śmiechem.

- Jak ty co powiesz...
- A co dopiero ty – mówi Chantal. – To dopiero ubaw po pachy te twoje plany matrymonialne.
- Niby dlaczego?
- Bo wyjdiesz za chłopaka, który jest od ciebie o dwadzieścia,

dwadzieścia pięć lat młodszy. Do czego to doprowadzi? Powiedz mi, do czego to doprowadzi?

Potrząsnęła figlarnie włosami i sama sobie udzieliła odpowiedzi:

– Twoje małżeństwo się nie utrzyma.

Julia przyjrzała się siostrze od stóp do głów, z postojem na piersi. Pyta ją:

– Uważasz, że jestem szpetna?

– Nie, nie, całkiem dobrze się trzymasz. Ale dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat różnicy to już coś. Ty mogłaś widzieć, jak francuska piechota w czerwonych portkach drobiła przed prezydentem Fallières. A on nawet nie musi wiedzieć, co to za jeden ten Fallières.

– Po pierwsze, dzięki za aluzję.

– Taka jest prawda.

– Co więcej, on nie ma dwudziestu lat. A co najwięcej mam to gdzieś. Powiedz: uważasz, że jestem przechodziona?

– Wcale nie.

– Gębusia jak?

– W porzo.

– Piersiątką?

– Mogą być.

– Nóżęta?

– Jak trzeba.

– To o co chodzi?

– Liczy się nie tylko strona fizyczna – mówi Chantal. – Chodzi też o morale.

– Jejkę – mówi Julia. – Skądżeś ty wyciągnęła podobny tekst?

– Nie wysiłaj się, sama na to wpadłam.

– No, to dajmy na przykład.

Chantal uczyniła aluzję do zwyczajów mężczyzn, mężczyzn żonatych, ze specjalnym uwzględnieniem męża własnego, Paula Boulingry: uporczywy alkoholizm, chroniczna tytonica, ociężałość seksualna, niewydolność finansowa, uczuciowy stupor. Problem w tym, że Julia uważała, że jej siostra wyjątkowo parszywie trafiła z tym swoim Popolem. Powołała się na facetów, którzy piją tylko wodę, jak mąż pani Trendelino, wcale nie pałą, jak mąż pani

Foucolle, którzy są napaleni jak kocury, jak mąż pani Panigère, którzy ho, ho jak zarabiają, jak mąż pani Parpillon, i którzy są dla swoich żonek najczulsi na świecie, jak cytowany już mąż pani Foucolle. Nie licząc tych, co potrafią wymienić uszczelkę, ponieść walizkę, prowadzić samochód, spuścić oczy na widok dziwki. Julia uważała, że jej żołnierz właśnie do takich należy i uśmiechnęła się na samą myśl. Co rozgniewało Chantal.

– Dobrze – ustąpiła. – Ale jak będziesz miała sześćdziesiąt lat, on będzie miał trzydzieści pięć. Nie utrzymasz go.

– Zobaczymy.

– Spryčiuła z ciebie.

– Ja myślę.

– Myślisz, że wszystkich facetów trzyma się tym samym, głupia dziewczyno?

– Jego będę umiała.

– Nawet nie wiesz, jak się nazywa.

– To bez znaczenia.

– Nie wiesz, ile ma lat, jaki ma zawód, jaką przeszłość, nie wiesz nawet, czy ma świadectwo ukończenia szkoły podstawowej.

– Co z tego?

– Dobrze, w takim razie dobrze.

Chantal bardzo po kobiecemu potrząsnęła czupryną. Dorzuciła raz jeszcze:

– W takim razie dobrze.

Potem podsumowała:

– Niech ci będzie.

Julia wreszcie usiadła za kasą. Mogła, bo nie było klientów, w przeciwnym razie z zasady tego nie robiła: klient od razu myśli o monetarnych konsekwencjach swojego czynu i nic nie kupuje. Lepiej nie. Zasiadła za gigantyczną skarboną na resorach, piękną i nowoczesną maszyną, jakie mają w aptekach i lokalach z muzyką, a która to machina nadawała skromnemu sklepowi Julii Julie Antoinette Ségovie wygląd powagi i srogości, gotowych przeciężyć wahania i obawy amateerek pastelowozielonych wstążek lub brązowozłocistego sutaszu.

Wyjęła imć Julia segregator na faktury i wzięła się do studio-  
wania płatności. Zrobiła to już od pierwszego siedemdziesiąt sie-  
dem razy, ale jeden raz więcej nigdy nie zawadzi. Tym bardziej że  
nie myślała o tym, czego nie robiła. Podczas gdy jej palce sunęły  
ze starannością analfabety po znakach, które Zachód zawdzięcza  
wynałazcom gumy, Julia przygotowywała krótką mowę do siostry  
w celach arcypraktycznych. Niestety weszła Ganière.

Wysłana po sprawunki, żeby sistersy mogły sobie spokojnie  
popaplać, niewolnica przedwcześnie wróciła do bazy.

– Wszystkie takie same – mówi Julia do Chantal. – Kiedy są  
potrzebne tutaj, wracają jak żółwie, a kiedy ich tu nie trzeba, lecą  
na złamanie karku.

Gorliwość Ganière doprowadziła Julię do rozpaczony tak wielkiej,  
że nie mieszkając wymierzyła w odległość, jaka dzieli panów i sługi,  
a zwłaszcza inteligencję jednych i ociężałość umysłową drugich.  
Co za gówniara, warknęła, a potem suchym głosem wycodziła:

– Zeszło ci trochę czasu!

– Ale, proszę pani – zaczęła dziewczyna.

– Wystarczy – mówi Julia. – Znowu gdzieś się włóczyłaś.

– Ależ, proszę pani – jęknęło to coś.

– Tak, tak, włóczyłaś. Włóczyłaś z jakimiś łobuzami. A może  
nawet z żołnierzami.

A przecież załatwiła wszystko bardzo szybko. Ganière nic nie  
kapowała.

– Ale, proszę pani.

– Dość. Znowu komuś dałaś, co? Mała łajdaczko. Wszystko  
powiem twojej mamie i twojej biednej babci. Taka młoda i już  
taka dziwka!

Julia westchnęła:

– Prawdziwa hetera!

To coś otworzyło usta, ale nie zdążyło się odezwać, Julia po-  
chyliła się nad tym czymś, a kasa była wysoka, a mała błaznica  
jak kurczę. Więc zadrżało.

Julia zeszła z krzesła, zanurkowała pod kontuar i wyjęła mały  
pakiecik, rzuciła go słudze.

- Weź i zanieś mi to, ale migiem.
- Ale, proszę pani...
- Ale co?
- To dla pani Foucolle, ona mówiła, że sama weźnie.
- Co cię to obchodzi?
- Abojawi.
- Więc masz to zanieść i nie mądrzyć mi się tutaj.

Pochyliło głowę, zanim znowu ruszyło na ulice Bouscat, a pochyliwszy głowę, znowu ruszyło na ulice miasta.

Kiedy Ganière zniknęła, Julia ponownie wdrapała się na krzesło i powiedziała:

- Ze służbą zawsze same kłopoty.
- Coś o tym wiem – powiedziała Chantal, chociaż miała tylko gosposię.
- Rząd się powinien tym zająć.
- Chyba powinien.
- A może za bardzo się do tego miesza.
- Też możliwe.
- Tak jak z tymi urzędnikami.
- Zostaw urzędników w spokoju.

Julia zostawiła zatem w spokoju urzędników, nie tyle ze względu na swojego szwagra, Paula Brelugata, kontrolera miar i wag, co na swoją siostrę, Chantal Marie-Berthe Eléonore, małżonkę niejakiego Brolugata (Paula), który pracą i sumiennością doszedł do stanowiska kontrolera w urzędzie miar i wag w Bordeaux (Gironde). Ostatnio został przeniesiony do Paryża, do piętnastki, świetny awans, który stał się pretekstem do kilku miejscowych kolacyjek, zwilżonych czosnkowym sosem, podlanych fondue i zakropionych burgundem. Z miłości do siostry Julia zostawiła w spokoju urzędników, chociaż za każdym razem, kiedy o tej sprawie myślała, strasznie ją to wpieńiało. Wystarczy.

- Och, wiesz, ci urzędnicy – powiedziała.
  - Chcesz mi jeszcze coś powiedzieć? – spytała Chantal.
  - Naprawdę uważasz, że robię głupstwo?
- Zapytała, jakby nie pytała.

– Nikt nie mówi, że się uda – odparła Chantal.

Niedbały ton sprawił, że Julia podniosła oczy.

– Co masz na myśli?

– Przecież to jasne.

– Co takie jasne?

Chantal wstała.

– Muszę już iść.

Skierowała się w stronę drzwi, ale Julia nie poruszyła się.

– Co masz na myśli – mówi.

– Przecież może mieć żonę.

– Nie nosi obrączki – odparowała Julia.

– Nie chcę cię urazić, ale przecież możesz mu się nie spodobać.

– Poradzę sobie.

– Dwadzieścia lat różnicy, to niemało.

– Nie dwadzieścia.

– Założę się, że tak.

– Tylko tyle masz mi do powiedzenia?

– Jeszcze ci mało?

Julia przez kilka sekund pochylała się nad fakturami, potem włożywszy je do segregatora, ześlizgnęła się z krzesła i podchodząc do siostry, przemówiła w te słowa:

– Bardzo mi smutno, że tak sobie jedziesz do stolicy, będzie mi ciebie brakowało, siostruniu.

– Przecież znalazłaś już sobie kogoś do towarzystwa.

– Siostry to nie zastąpi.

– Co to, to nie. Siostry nic nie zastąpi.

Jej włosy opadły miękko na wytarty nieco kołnierz żakietu. Chantal sięgnęła do torebki po róż, szminkę, puder, cienie, krem, ołówek, puszek i pędzelek.

– To prawda. Siostry nic nie zastąpi. Pięknie to powiedziałaś, tak poetycznie.

– Paryż to tylko Paryż.

– Ale jednak.

Julia westchnęła.

Chantal rozgniotła sobie kawałek karminu na ustach, oblizwała wargi, na koniec uśmiechnęła się.

– Przyjedziesz do nas z wizytą – mówi.

Julia też się uśmiechnęła.

– Pójdziemy sobie do Folies Bergère.

– I do Casino de Paris.

– Na wieżę Eiffla.

– Zakręci mi się w głowie.

– I na Père-Lachaise.

– Gdzie leżą wielcy umarli.

Zaczęły się rozczulać.

– A pamiętasz – mówi do Chantal Julia – pamiętasz zaułek Trainée?

– Nazwa w sam raz.

– Pamiętasz przy wychodzeniu z podstawówki?

– Pewnie. Razem z Mireille Bacroix i Sophie Bergier trenowałyście tam chłopaków, żeby im ściągnąć spodnie. Podglądałam was, ja byłam za mała.

– Terroryzowałyśmy malców. Sama dyrektorka szkoły chwaliła nas, że uczymy ich szacunku dla kobiet.

Zachichotały. Julia ciągnęła:

– A jak się zaręczyłaś i mama uwierzyła, że cię tak wzdęło od melona.

– Mąsztesz – dorzuciła Chantal, płacząc ze śmiechu.

– Nie do wiary, jak ludzie potrafią być głupi! – podsumowała Julia.

Już się uspokajały, kiedy Julia znowu zaczęła:

– I ten uzdrowiciel, co go wymyśliłyśmy!

Znowu śmiechy.

– I tak – mówi Julia – miałaś ślub bez brzuszka.

– Ojej, ojej, już nie mogę.

Chantal musiała znowu seprzysiąść.

Zadyszana wycierała łzy.

– Zawsze mnie rozśmieszysz – wyksztusiła.

Trzęsienie się nad spadkiem po niezamężnej siostrze to na-



prawdę sprawa zbyt długiego trwania. Marinette później sama będzie musiała dać sobie radę, trudno. Zresztą, w chwili obecnej Marinette strasznie ją wkurzała. Nigdy nie widziała takiej dziewczyny: łapy ciągle w majtkach, perwersyjna, fałszywa, kłamie jak najęta, kręci, kradnie, i w ogóle.

– A pamiętasz – ciągnęła Julia, z góry się śmiejąc z jakiegoś wspólnego wspomnienia, które zamierzała przywołać.

Chantal przerwała jej:

– Słuchaj, na mnie już czas. Mów szybko, o co chciałaś mnie prosić.

Julia ucałowała ją.

– Do widzenia, malutka. Opowiedz mi dokładnie wszystko, czego się o nim dowiesz.

## NOTA O AUTORZE

**R**aymond Queneau urodził się w 1903 roku w Hawrze, zmarł w 1976 w Paryżu. Francuski pisarz, autor powieści, poematów, esejów, komentator Hegla. Studiował filozofię, psychologię i nauki matematyczne. Był lektorem wydawnictwa Gallimard (od 1938), członkiem Akademii Goncourtów (1951–1970) i dyrektorem Encyklopedii Plejady (od 1954). W latach 30. uczęszczał na wykłady Alexandre'a Kojève'a poświęcone *Fenomenologii ducha* Hegla, które potem opracował i wydał. Interesował się manicheizmem i gnozą, prowadził życie duchowe w oparciu o lekturę pism René Guénona. Od najmłodszych lat pisał i niszczył pierwsze literackie próby. Sporządził listę pisarzy, którzy wywarli na niego wpływ; figurują na niej: Dante, Rabelais, Flaubert, Bergson, Claudel, Rimbaud oraz Joyce i Faulkner, a także Tołstoj i Nietzsche, podziwiał też formalny rygor powieści Conrada. W latach 20. związał się z surrealistami (Leiris, Soupault, Breton, Aragon), opuścił ich jednak nieco później, zniechęcony terrorem nieświadomości, i poświęcił się badaniom nad „szaleńcami literackimi”; w wyniku tych studiów powstaną trzy ważne teksty o szaleństwie i esej *Comprendre la folie* (Zrozumieć szaleństwo).

Cykl *Ćwiczeń stylistycznych* (*Exercices de style*, 1947) i powieść *Zazie w metrze* (*Zazie dans le métro*, 1959) sprawiły, że stał się sławny; na długo też zjednały mu opinię autora ironicznych ludycznych opowieści, poddanych ścisłym rygorom formalnym, co ograniczało znaczenie jego twórczości do językowego eksperymentu, mającego na celu zreformowanie francuskiego języka pisanego poprzez wprowadzenie do niego struktur mowy potocznej. Dyscyplina formalna, prawa kombinatoryki i misterna konstrukcja w różnym stopniu, z czasem malejącym, cechują wszystkie jego utwory pełne gier językowych, kalamburów, składniowych osobliwości i zapisów fonetycznych. Jest tak w debiucie powieściowym *Psia trawka* (*Le Chiendent*, 1933) oraz w tryptyku „powieści mądrości”: *Pierrot mon ami* (1942), *Loin de Rueil* (Daleko od Rueil, 1944), *Niedziela życia* (*Le Dimanche de la vie*, 1952). Podobnym założeniom konstrukcyjnym podlegają: autobiograficzna opowieść wierszem – *Chêne et chien* (Dąb i pies, 1937), traktat filozoficzny aleksandrynem – *Petite Cosmogonie portative* (Mała kosmogonia kieszonkowa, 1950), utwory powieściowe – *Gueule de pierre* (1934), *Les Enfants du Limon* (1938), *Un rude hiver* (1939), *Les Temps mêlés* (1941), *Saint Glinglin* (1948), *Dziela*

zebrane *Sally Mary* (*Les Oeuvres complètes de Sally Mara*, 1962), napisany w formie dialogów *Le Vol d'Icare* (Lot Ikara, 1968), a także tom *Sto tysięcy miliardów wierszy* (*Cent mille milliards de poèmes*, 1961).

Raymond Queneau był również członkiem Kolegium Patafizyki (1950) i jednym z założycieli eksperymentalnej grupy OuLiPo (Warsztat Literatury Potencjalnej, 1960). Swoje teoretyczne założenia przedstawił m.in. w wywiadach (*Entretiens avec Georges Charbonnier*, 1962; Rozmowy z Georges'em Charbonnier) i w zbiorach tekstów krytycznych: *Bâtons, chiffres et lettres* (Kreski, cyfry i litery, 1950) oraz *Bords* (Brzegi, 1963). W roku 1973 ukazał się zbiór jego artykułów o literaturze *Le Voyage en Grèce* (Podróż do Grecji).

W trzy lata po śmierci autora powstał klub Przyjaciół Valentina Brù (*Les amis de Valentin Brù*), bohatera *Niedzieli życia*. W 1986 i 1996 wydawnictwo Gallimard opublikowało opracowane przez córkę pisarza, Anne Isabelle Queneau, „Dzienniki” (*Journal 1939–1940, Journaux 1914–1965*).

W polskim przekładzie ukazały się dotąd *Ćwiczenia stylistyczne* (2005, przeł. J. Gondowicz), *Zazie w metrze* (2005, przeł. M. Ochab), *Pierrot mon ami* (2002, przeł. A. Wasilewska), *Dzieła zebrane Sally Mary* (2003, przeł. J. Gondowicz, H. Tygielska, A. Wasilewska) oraz *Psia trawka* (2014, przeł. H. Igalson-Tygielska). Obszerne fragmenty kilku powieści Raymonda Queneau zostały opublikowane w monograficznym numerze „Literatury na Świecie” (nr 6/2000).

*H. Igalson-Tygielska*

Wydrukowano na Munken Print Cream 15 80 g/m<sup>2</sup>



**Munken**  
BY ARCTIC PAPER

[www.arcticpaper.com](http://www.arcticpaper.com)